



Miała nauczyć pokory.
Zamiast tego
dała im skrzydła

TEATR ZŁAMANÝCH SERC

MAGDALENA BURACZEWSKA-ŚWIĄTEK



MAGDALENA BURACZEWSKA-ŚWIĄTEK

TEATR ZŁAMANYCH SERC



Copyright © 2025 by Magdalena Buraczewska-Świątek

Copyright for this edition © 2026 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Agnieszka Sabak

KOREKTA: Anna Piechota

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

ZDJĘCIE AUTORKI: Archiwum prywatne Autorki

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-492-5

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-493-2

ISBN ABONAMENT: 978-83-8412-494-9

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Jan Żaborowski

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Prolog

Deszcz bębnił o szyby powozu jak tysiąc palców umarłego pianisty, który nigdy nie nauczył się melodii. Melania Ashworth wpatrywała się w szarą mgłę za oknem, gdzie kontury Yorkshire ginęły w październikowej wilgoci, i myślała o tym, jak szybko można stracić wszystko. Jeszcze wczoraj miała dobre imię. Dziś tylko walizkę z trzema żałobnymi sukniami i list rekomendacyjny, który pachniał bardziej rozpaczą niż atramentem.

Miss Ashworth wykazuje się... odpowiednim wykształceniem w zakresie podstaw edukacji, w tym także muzycznej – przeczytała ponownie, choć znała już każde słowo na pamięć. Odpowiednim. Jakby była kawałkiem mebla, który może się przydać, ale nie zasługuje na uwagę.

Nikt nie napisał, że grała na fortepianie od szóstego roku życia, najpierw ucząc się prostych melodii u matki na starym Broadwoodzie w salonie plebanii, a potem doskonaląc technikę u profesora Hartleya z Leeds, który przyjeżdżał do nich dwa razy w tygodniu przez dziesięć lat. Nikt nie wspomniał, że opanowała skrzypce do takiej perfekcji, że w wieku szesnastu lat wykonywała *Cztery pory roku* Vivaldiego w katedrze St. Mary w Grassington przed członkami hrabstwa Yorkshire, a lord Featherstone osobiście prosił ją o bis. Nie było mowy o tym, że mówi płynnie po francusku i włosku – w językach, których uczyła się mozolnie, śpiewając arie operowe w oryginale przy świetle świec, gdy ojciec już spał – ani że zna łacinę lepiej niż większość duchownych z dekanatu.

Nikt nie zechciał odnotować, że studiowała teorię muzyki u profesora Aldricha z Konserwatorium Królewskiego, wysyłając swoje kompozycje pocztą i otrzymując listy pełne pochwał oraz coraz trudniejszych zadań. Nie wspomniano, że potrafi napisać czterogłosową fugę w stylu Bacha, a znajomość literatury angielskiej, francuskiej i niemieckiej oraz naturalny talent pozwalają jej interpretować każdą rolę teatralną z głębokim zrozumieniem psychologii postaci, że recytuje z pamięci całe fragmenty z Szekspira, Moliera i Schillera.

Milczano o tym, że uczyła dzieci pieśni w niedzielnej szkole przy parafii ojca, wykazując się niebywałą wprost cierpliwością, że organizowała koncerty charytatywne dla ubogich rodzin górniczych, sama szyla kostiumy do przedstawień, projektowała scenografię i prowadziła próby jak prawdziwy reżyser.

„Odpowiednie wykształcenie” – jakby te piętnaście lat intensywnej nauki, od świtu do zmierzchu, jakby niezliczone godziny ćwiczeń, aż palce krwawiły na strunach skrzypiec, jakby noce spędzone nad partyturami przy świecy, gdy cały dom spał, było tylko... odpowiednie. Jakby talent, który sprawił, że londyńscy krytycy porównywali jej głos do Jenny Lind, był tylko przypadkowym dodatkiem do podstawowych umiejętności pisania i rachunków.

Koła powozu wpadły w głęboką kałużę, a Melania poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Nie z powodu podskoku – lecz na widok tego, co właśnie wyłoniło się z mgły. Grimthorne House wznosiło się przed nią jak kamienne przekleństwo rzucone na wzgórze. Czarne mury pokrywał nalot sadzy z pobliskich fabryk, a okna – te nieliczne, które nie były zabite deskami – świeciły chorym, żółtym światłem. Z komina unosił się dym, ale nawet on wydawał się smutny, jakby ogień w środku dogasał z braku nadziei.

– Proszę pani, czy to na pewno tutaj? – zapytał woźnica, odwracając się do niej z miną, jakby właśnie się dowiedział, że ma przewozić pasażera zarażonego dżumą.

Melania skinęła głową, choć kłamała. Nie była pewna niczego. Ani tego miejsca, ani siebie, ani jutra. Gdy powóz zatrzymał się przed żelazną bramą, usłyszała pierwsze krzyki. Nie były to sygnały dziecięcej zabawy – te znała z londyńskich parków, gdzie bawiły się dzieci z dobrych domów. To było coś innego. Dziksze. Pełne furii, której dziecko nie powinno odczuwać.

– Już tu pani wysiądzie? – Woźnica najwyraźniej chciał jak najszybciej opuścić to miejsce.

Melania zapłaciła i wzięła walizkę. Gdy powóz odjechał, zostawiając ją w kurzu i ciszy przerywanej odgłosami z wnętrza budynku, poczuła się jak aktorka, która weszła na scenę, nie znając swojej roli. Ale może właśnie o to chodziło. Może tutaj, w tym przeklętym miejscu, gdzie nikt nie zna jej nazwiska ani historii, będzie mogła napisać nową sztukę? Albo przynajmniej przeżyć do następnego aktu...

Podeszła do drzwi i zapukała. Metalowy dźwięk rozniósł się echem po dziedzińcu, a gdzieś w środku ucichły dziecięce głosy. Jakby dom nagle wstrzymał oddech. Gdy drzwi się otworzyły, pierwszą rzeczą, którą ujrzała, nie była twarz człowieka, lecz jego cień – długi, wąski, padający na kamienne płyty jak czarna kreska narysowana przez Boga w chwili najgorszego humoru.

– Miss Ashworth, jak mniemam? – Głos był suchy jak stary pergamin. – Jestem Cornelius Grimsby. Witam w Grimthorne House.

Melania spojrzała w oczy dyrektora i natychmiast zrozumiała, że jej poprzednie życie – z całymi jego tragediami – to było tylko preludium. Prawdziwa sztuka dopiero się zaczyna.

I zdawało się, że pierwsza scena ma się rozegrać w piekle.

Rozdział 1

Trzy miesiące wcześniej

Londyn, Teatr Królewski Drury Lane

Kurtyna z ciężkiego aksamitu opadła przy ogłuszających brawach, a Melania Ashworth stała w ciasnych kulisach Teatru Królewskiego Drury Lane, czując, jak pot miesza się z białym pudrem i różem na jej bladej twarzy. Wokół panował kontrolowany chaos końca przedstawienia – garderobiane chwytaly spadające ozdoby z jej sukni, chłopcy teatralni biegali z rekwizytami, a zapach karbidu z lamp gazowych mieszał się z wonią talku i perfum publiczności.

Właśnie skończyła śpiewać rolę Ofelii w *Hamlecie*. To wprowadzie nie główna rola, ale właśnie ona sprawiała, że eleganckie damy w łóżach płakały w koronkowe chusteczki, a dżentelmeni na parterze zapominali na chwilę o swoich cygarach. Melania miała dwadzieścia cztery lata, ciemne kasztanowe włosy, które przy świetle reflektorów przybierały miedziane refleksy, i głos, który jeden z krytyków opisał jako „aksamit nasączony rozpuszczalnym złotem”. Była smukłą kobietą średniego wzrostu o arystokratycznych rysach twarzy – odziedziczonych po matce, pianistce z szanowanej rodziny – ale z determinacją w zielonych oczach, która zdradzała jej pochodzenie z prowincjonalnej plebanii.

– Wspaniale, moja droga! Absolutnie wspaniale! – Harold Pemberton, dyrektor teatru, przedarł się przez tłum asystentów, niosąc bukiet

czerwonych róż tak wielki, że wyglądał jak krwawy krzew. Był korpulentnym mężczyzną po pięćdziesiątce, a niedoskonałości sylwetki ukrywał pod starannie skrojonym garniturem od krawca z Savile Row^{*}. Jego twarz przypominała portret dobrotliwego mieszczanina pędzla Hogartha – różowe policzki, siwiejące bokobrody à la Franciszek Józef, ale oczy miał małe, świdrujące, zawsze wydawał się oceniać nimi kobiety jak handlarz końmi ocenia klacze – sprawdzając zęby, biodra i temperament. Na jego lewej dłoni błyszczał sygnet z rodzinnym herbem, a z kamizelki zwisał złoty łańcuszek zegarka tykającego miarowo jak metronom jego żądy.

Melania ukloniła się z wdziękiem wyuczonym w dzieciństwie na plebanii ojca, gdzie wizyty dostojników wymagały znajomości dworskiej etykiety, choć coś w spojrzeniu Pembertona zawsze sprawiało, że czuła potrzebę zapięcia sukni aż pod samą szyję. Od dwóch lat pracowała w jego teatrze, odkąd przyjechała z Yorkshire po śmierci matki, która zmarła na gruźlicę w środku zimy, gdy węgiel był droższy niż lekarstwa. Ojciec, pastor z małej parafii St. Mary w Grassington, wysoki, chudy i wiecznie zgarbiony nad teologicznymi księgami, nie potrafił zrozumieć jej potrzeby śpiewania – nazywał to „próżnością ducha, która oddala od Boga” – ale w końcu zgodził się, by wyjechała do Londynu, gdy otrzymała propozycję od Pembertona. „Jeśli Stwórca obdarzył cię talentem”, powiedział wtedy ojciec, patrząc na fortepian jej matki, „to grzechem byłoby go zakopać w ziemi”.

– Dziękuję, panie Pemberton – odparła, przyjmując kwiaty. – Publiczność była dziś szczególnie wymagająca.

– Ach, ale ty zawsze potrafisz ją oczarować! – Jego dłoń musnęła jej ramię, jakby przypadkowo, ale błyskawicznie wyczuła intencję. – Słuchaj, mam propozycję. Jutro wieczorem organizuję kolację dla kilku

wpływowym patronów teatru. Lord Ashford będzie obecny, podobnie jak hrabia Wessex. Mogłabyś zaśpiewać dla nich coś intymnego, kameralnego. Oczywiście, za dodatkowe wynagrodzenie.

Melania zawahała się. Kolacje u Pembertona były legendarne w teatralnych kręgach – mówiło się, że bardziej przypominają rzymskie orgie niż kulturalne przyjęcia w eleganckich salonach. Ale pieniądze były kuszącą perspektywą. Ojciec od miesiący chorował, a rachunki od lekarza rosły.

– Będzie to występ wyłącznie muzyczny? – zapytała ostrożnie.

– Oczywiście! – Pemberton roześmiał się, ale w jego oczach błysnęło coś, co nie pasowało do tej wesołości. – Jesteś artystką, moja droga, nie... cóż, nie kimś innym.

Następnego wieczoru Melania stanęła w eleganckim salonie Pembertona przy Belgrave Square, w kamienicy z białego wapienia, której okna wychodziły na prywatny ogród dostępny tylko dla mieszkańców. Salon był urządzony w najmodniejszym stylu drugiego cesarstwa – purpurowy aksamit na meblach, pozłacane ramy luster, a na ścianach obrazy przedstawiające bachusy i nimfy w pozach, które onieśmielałyby panienki z dobrego domu. Ciężkie kotary z brokatowej tkaniny były zaciągnięte, a pokój oświetlały jedynie lampy naftowe i świece w kryształowych żyrandolach, co nadawało wnętrzu intymną, ale nieco niepokojącą atmosferę.

Otoczona była grupą sześciu mężczyzn w smokingach od najlepszych londyńskich krawców, ale ich spojrzenia były równie zachłanne jak te, które pamiętała z dzieciństwa, gdy żebracy przyklejali nosy do szyb piekarni w Grassington, patrząc na świeży chleb. Zaśpiewała arię z *Traviaty* – *Sempre libera* – stojąc przy okrągłym stoliku inkrustowanym perłową mozaiką, potem kilka pieśni Schuberta, a na koniec irlandzką balladę, której

nauczyła ją matka. Jej głos wypełnił pokój jak płynne złoto rozlewane po aksamicie, a mężczyźni słuchali w religijnym niemal skupieniu, popijając brandy z kryształowych kieliszków i zaciągając się cygarami hawańskimi.

Po tej balladzie wszystko się zmieniło.

– Brawo! Brawo! – Lord Reginald Ashford podszedł do niej, kłaniając się teatralnie. Był to mężczyzna po sześćdziesiątce, wysoki i szeroki w ramionach, z siwą brodą przyszyrzoną w stylu księcia Alberta i oczami koloru stali, które pamiętały jeszcze bitwy przeciwko Napoleonowi pod Waterloo, gdzie służył jako młody oficer. – Moja droga, masz głos anioła, ale oczy... oczy masz diabelskie.

Wszyscy się roześmiali tym śmiechem, który brzmi w męskich klubach na St. James's^{**}, gdy opowiadania o łowach przechodzą w opowiadania o polowaniach innego rodzaju. Melania poczuła zimny dreszcz przebiegający jej po plecach jak igły lodu. Zmieniło się coś w atmosferze – zapach cygar stał się cięższy, śmiech dłuższy, a spojrzenia mężczyzn ostrzejsze. Powietrze zagęściło się nagle, jak przed burzą.

– Może teraz coś bardziej... swobodnego? – zasugerował Malcolm, hrabia Wessex, młodszy od Ashforda o dobrych dwadzieścia lat, ale z takim samym wyrazem twardości na twarzy pokrytej bliznami po ospie. Miał ryże, obficie wypomadowane włosy i wąsik, a na jego prawej dłoni widniała blizna po pojedynku, o którym szeptano w klubach. – Znam pewną francuską piosenkę, bardzo... edukacyjną. Nauczyłem się jej w Paryżu, w pewnym... doborowym towarzystwie.

– Panowie, myślę, że wystarczy na dziś – powiedziała Melania, próbując zachować spokój. – Jestem zmęczona.

– Ależ, drogie dziecko – Pemberton nagle stanął za nią, a jego dłonie spoczęły na jej ramionach. – Wieczór dopiero się zaczyna. Lordowie są

bardzo szczodrymi patronami teatru. A ty... ty jesteś w nim najcenniejszą perłą.

Melania próbowała się odsunąć, ale jego uścisk stał się mocniejszy. W pokoju zapadła cisza, ale nie z podziwu dla sztuki. To była cisza drapieżników, którzy otaczają swoją ofiarę.

– Proszę mnie puścić – oznajmiła głośno, wyraźnie.

– Nie bądź niegodziwa – szepnął jej do ucha Pemberton. – Wszyscy wiemy, dlaczego naprawdę tu jesteś. Aktorki, śpiewaczki... wszystkie jesteście takie same. Nie udawaj świętoszki.

To, co stało się potem, wydarzyło się tak szybko, że Melania miała wrażenie, jakby obserwowała to z zewnątrz. Odwróciła się gwałtownie, wyrывая się z uścisku Pembertona, i uderzyła go otwartą dłonią w policzek. Dźwięk rozniósł się po pokoju jak strzał z pistoletu.

– Nigdy więcej mnie nie dotykaj! – syknęła, a w jej głosie było więcej jadu niż w monologach Lady Makbet.

Pemberton dotknął policzka, na którym wykwitał czerwony ślad. Oczy płonęły mu wściekłością.

– Pożałujesz tego, mała dziwko – wycodził przez zęby.

Melania chwyciła torebkę i płaszcz, a gdy dotarła do drzwi, usłyszała jeszcze głos lorda Ashforda:

– Haroldzie, mój drogi, nie pozwalaj sobie na takie zachowanie wobec tak... utalentowanej damy. A ty, moja droga – rzucił jeszcze w stronę Melanii – pamiętaj, że reputacja w teatralnym świecie jest jak porcelana. Łatwo pęka, a trudno naprawić.

Trzy dni później wszystkie gazety w Londynie pisały o skandalu w Teatrze Królewskim. „Wulgarna scena zazdrości”, „Przemoc w świecie teatru”, „Aktorka atakuje szanowanego dyrektora”. Opowieść została tak wykrzywiona, że Melania nie poznawała w niej siebie. Według gazet to ona

miała uwieść Pembertona, a potem, gdy odmówił powierzenia jej głównej roli, miała go zaatakować z zemsty.

Najgorsze było to, że w każdej wersji historii pojawiały się szczegóły, których nigdy nie ujawniła – dokładny opis jej kremowej sukni z jedwabiu, słowa, które podobno wypowiedziała: „Zapłacisz mi za to, Haroldzie!”, nawet sposób, w jaki rzekomo rzuciła się na niego z pazurami. Któryś z obecnych wtedy u dyrektora teatru gości najwyraźniej udzielił dziennikarzom wywiadu, przedstawiając wydarzenia w tak wypaczony sposób, że prawdy nie dało się odróżnić od kłamstwa.

Gazety rozpisywały się o tym, że Melania miała romans z Pembertonem już od dawna – „już od kiedy ją zaangażował”. Nagle pojawiły się też wypowiedzi koleżanek z teatru, które anonimowo potwierdzały te rewelacje. „Zawsze się zastanawialiśmy, dlaczego to ona dostaje najatrakcyjniejsze role” – mówiła jedna z nich. I jeszcze: „Talentem szczególnie nie grzeszyła, ale «stary» miał do niej słabość. Teraz wiemy, dlaczego”. Inna dodawała: „Dobrze, że wszystko wyszło na jaw. Nie mogliśmy już patrzeć na tę hipokryzję!”.

Melania czytała te słowa, siedząc w swojej skromnej kawalerce w Bloomsbury i czuła, jak świat rozpada się wokół niej na kawałki. Te kobiety, z którymi dzieliła chleb w teatralnej kantynie, które prosiły ją o pomoc w nauce arii, które płakały jej w ramię, gdy krytycy byli dla nich okrutni – teraz obracały się przeciwko niej jak stado hien wyczuwających krew.

Drżącymi dłońmi przekartkowała wszystkie gazety, które udało się jej kupić. W każdej znajdowała nowe szczegóły tej zmyślonej historii. Podobno spotykała się z Pembertonem w tajemnicy po przedstawieniach. Podobno dostawała od niego drogie prezenty. Podobno inni dyrektorzy teatrów w Londynie już dawno wiedzieli o „jej reputacji”, ale milczeli

z szacunku dla Pembertona. Tego wieczoru płakała po raz pierwszy od śmierci matki – z wściekłości, z bezsilności, z rozpacz, nad tym, że świat, który tak kochała – świat teatru, muzyki, sztuki – obrócił się przeciwko niej w tak okrutny sposób. Że jej talent, jej lata ciężkiej pracy, jej marzenia zostały zmiażdżone jednym kłamstwem powtarzanym przez wpływowych mężczyzn.

Oczywiście z Drury Lane natychmiast została zwolniona. Żaden teatr w Londynie nie chciał jej przyjąć. Jej imię stało się synonimem skandalu, a twarz – symbolem kobiety, która „zapomniała, gdzie jej miejsce”. Gdy otrzymała wiadomość o pogorszeniu się stanu zdrowia ojca, sprzedała wszystkie swoje sceniczne suknie, zapakowała trzy zwyczajne, najskromniejsze i wsiadła w pociąg do Yorkshire, licząc na to, że zdoła spędzić z ojcem ostatnie chwile. Zmarł w jej ramionach trzy dni potem, szepcząc na koniec:

– Może... może to Bóg tak chciał, żebyś wróciła do domu, córko. Może w teatrze było dla ciebie za dużo pokus. To nigdy nie był świat dla ciebie.

Melania nie powiedziała mu prawdy o tym, co się stało. Pozwoliła mu umrzeć w przekonaniu, że jego córka jest grzesznicą, która zasłużyła na swój los. Gdy przeczytała ogłoszenie o pracy w Grimthorne House, była już bez grosza przy duszy. Po śmierci ojca musiała opuścić plebanię, która jako własność parafii przeszła w ręce nowego pastora, a wszystkie jej oszczędności pochłonęły rachunki za leczenie i pogrzeb – w tym te, które ojciec zaciągnął prywatnie u lokalnych wierzycieli, by sfinansować kosztowne wizyty lekarskie i medykamenty, nie chcąc obciążać parafii. Jej nazwisko dla teatru przestało istnieć.

Wymagania: młoda kobieta o nieposzlakowanej reputacji, zdolna do nauczania podstaw pisania i rachunków. Doświadczenie w pracy z trudną młodzieżą mile widziane. Wynagrodzenie skromne, ale uczciwe.

Nieposzlakowana reputacja. Melania roześmiała się gorzko, czytając te słowa. Jeśli tylko Cornelius Grimsby nie prenumerował londyńskich gazet karmiących się skandalami, mogła mieć szansę, a nawet jeśli – prawda była po jej stronie. Napisała list, po raz pierwszy w życiu kłamiąc o swojej przeszłości. Przedstawiła się jako córka pastora, która po jego śmierci szuka pracy pozwalającej się utrzymać i służyć społeczeństwu. Nie wspomniała o teatrze, Londynie, o tym, co naprawdę umiała robić najlepiej, a jedynie o tym, że ma też wykształcenie muzyczne.

Listopad 1863

Grimthorne House, Yorkshire

Melania spojrzała Corneliusowi Grimsby'emu w twarz. Była to twarz wyrzeźbiona z yorkshirskiego kamienia przez rzeźbiarza, który stracił wiarę w Boże miłosierdzie – ostre kości policzkowe wystające jak górskie grzbiety, wąskie usta zaciśnięte w linię cieńszą od drutu drukarskiego, nos jak dziób kruka, a oczy koloru zimnego łupka, tak głęboko osadzone, że rzucały cienie na zapadnięte policzki. Jego włosy, kiedyś może czarne, teraz miały barwę popiołu pozostałego po spaleniu heretyckich książek. Ubrany był w czarny surdut o kroju z czasów Cromwella***, tak sztywny i ciemny, że wyglądał jak uosobienie purytańskiego potępienia. Na jego suchych dłoniach widniały żyły wystające jak korzenie starego dębu, a palec wskazujący lewej ręki był spłaszczony – najwyraźniej kiedyś złamany i źle zrośnięty.

Ale tym, co uderzyło ją najbardziej, był jego wzrok. Patrzył na nią tak, jakby potrafił czytać w jej duszy jak w otwartej księdze i nie podobało mu się żadne słowo, które tam widział. To nie był zwykły sceptycyzm wobec obcej osoby – to było spojrzenie inkwizytora, który już wydał wyrok, a teraz tylko zbierał dowody na swoją słuszność.

– Proszę usiąść – odezwał się szorstko, odsuwając się, by przepuścić ją przez próg z ciemnego, wypolerowanego dębu. Jego ruchy były oszczędne, kontrolowane, jakby każdy gest kosztował go wiele wysiłku. Melania czuła zapach karbolu, starego drewna i czegoś jeszcze – strachu, który wsiąkł w mury przez lata jak wilgoć w jesienne wieczory.

– Mamy do omówienia wiele spraw, panno Ashworth – kontynuował, a jego spojrzenie przesunęło się po jej żałobnej sukni z czarnego sukna, skromnym kapelusiku z jedyną ozdobą w postaci czarnej wstążki, walizce z przetartej skóry, którą trzymała w dłoniach jak tarczę. – I mam nadzieję, dla twojego własnego dobra, że jesteś dokładnie tą, za którą się podajesz. W Grimthorne House nie ma miejsca na kłamstwa, miss Ashworth. Ani na grzech.

Jego ostatnie słowo zawisło w powietrzu jak wyrok śmierci, a Melania poczuła, że jej nowe życie zaczyna się od procesu, w którym już została uznana za winną.

– Rozumiem, panie Grimsby – odpowiedziała, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie, choć serce biło jej mocno. – Jestem córką pastora i wychowałam się w duchu chrześcijańskiej moralności.

Grimsby skinął głową, ale jego oczy nadal studiowały ją z nieufnością człowieka, który przez lata uczył się rozpoznawać kłamstwa w każdej sylabie, w każdym drgnięciu powiek.

– Twój ojciec... pastor z Grassington. Sprawdziłem. Rzeczywiście, czcigodny Ashworth był znanym w okolicy duchownym. – Zatrzymał się przed nią, a jego wzrok stał się jeszcze bardziej przenikliwy. – Ale dzieci duchownych, panno Ashworth, bywają czasem najbardziej zbuntowane przeciwko temu, czego ich uczono. Diabeł szczególnie lubi kuszenie tych, którzy urodzili się w cieniu ołtarza.

Melania poczuła zimny dreszcz. Czy coś wiedział? Czy dotarły tu londyńskie gazety? A może ktoś napisał do niego list z ostrzeżeniem przed „skandaliczną aktorką”?

– Nie rozumiem, o czym pan mówi – odparła, choć kłamstwo paliło ją w ustach jak rozpalone węgle.

– Nie? – Grimsby podszedł do okna i spojrzał na dziedziniec, gdzie w szarej mżawce stali chłopcy w jednolitych szarych mundurkach. – Widzisz ich, panno Ashworth? To moja owczarnia. Czterdzieści trzy zagubione owce, które Bóg powierzył mojej opiece. Niektórzy to sieroty po robotnikach fabrycznych, inni zostali przywiezieni przez policję z londyńskich ulic, gdzie żyli jak szczury. Wszyscy mają jedną wspólną cechę – są zepsuci przez grzech tego świata.

Jego głos stał się jeszcze twardszy, jak kamień szlifowany przez lata fanatyzmu.

– Moja rola polega na tym, by wypłenić z nich zło i wszczepić dobro. To wymaga żelaznej dyscypliny, miss Ashworth. I absolutnej czystości moralnej od wszystkich, którzy mają z nimi kontakt. Jeśli ty sama jesteś skażona grzechem...

– Nie jestem – przerwała mu Melania z większą siłą, niż zamierzała. – Jestem córką pastora, która straciła ojca i szuka uczciwej pracy, by móc się utrzymać. Nic więcej.

Grimsby odwrócił się od okna i patrzył na nią długo, w milczeniu. W końcu podszedł do wielkiego, ciemnego biurka, na którym leżały otwarta Biblia, atrament i pióro oraz stos listów związanych czerwoną wstążką.

– Bardzo dobrze – powiedział w końcu. – W takim razie omówimy twoje obowiązki. Będiesz uczyć chłopców podstaw pisania, czytania i rachunków. Lekcje trwają od ósmej rano do szóstej wieczorem, z przerwą na posiłek w południe. Po kolacji wspólnie się modlimy. Żadnych rozmów

prywatnych z chłopcami. Żadnych wyrazów czułości ani pobbłaszania. Kara cielesna jest nie tylko dozwolona, ale zalecana za każde nieposłuszeństwo.

Melania skinęła głową, choć każde słowo spadało na nią jak kamień.

– Twój pokój znajduje się na drugim piętrze, obok kaplicy. Będziesz jadać posiłki z chłopcami w jadalni. Wynagrodzenie otrzymasz na koniec każdego miesiąca, pod warunkiem zadowolającego wykonywania obowiązków.

Tu się zatrzymał się i po raz kolejny zmierzył ją wzrokiem.

– I jeszcze jedno, miss Ashworth. W tej instytucji nie ma miejsca na żadne formy... artystycznego wyrazu. Żadnych pieśni oprócz hymnów religijnych. Żadnych opowieści oprócz Pisma Świętego. Żadnych zabaw czy rozrywek. Ci chłopcy przyszli tutaj, by zostać oczyszczeni z grzechu, a nie by się bawić.

Słowo „bawić” wypowiedział z takim wstrętem, jakby miało smak trucizny. Melania poczuła w sercu lodowaty chłód. Czy naprawdę ma spędzić resztę życia w tym miejscu, gdzie wszystko, co kocha, jest zakazane? Ale czy ma wybór? Na ulicach czekają tylko nędza i hańba.

– Rozumiem, panie Grimsby – wyszeptała.

– Bardzo dobrze. W takim razie pokażę ci twój pokój. Jutro rano o ósmej zaczniesz pracę.

Gdy ją prowadził przez ciemne korytarze Grimthorne House, Melania słyszała dobiegające z różnych stron odgłosy – kroki, szmery, a czasem stłumiony płacz. Czy to były łzy chłopców, których miała uczyć? A może ducha tego przeklętego miejsca, który opłakiwał wszystkich, którzy przekroczyli jego progi z nadzieją, a zostali tylko z rozpaczą?

Nie wiedziała jeszcze, że właściwa sztuka, w której zagra, dopiero się zacznie. I że tym razem stawką będzie nie tylko jej własne życie, ale dusze piętnastu chłopców, których Bóg miał powierzyć jej opiece.

.....

* Savile Row – słynna ulica w londyńskiej dzielnicy Mayfair, gdzie od XVIII wieku mieściły się najlepsze zakłady krawieckie obsługujące arystokrację i bogatą burżuazję. W czasach wiktoriańskich garnitur od krawcy z Savile Row był symbolem statusu społecznego i bogactwa. Kosztował tyle, ile przeciętny robotnik zarabiał przez kilka miesięcy.

** St. James's – ekskluzywna dzielnica w centrum Londynu, gdzie od XVIII wieku mieściły się najznakomitsze męskie kluby towarzyskie brytyjskiej arystokracji i wyższych sfer. Kluby takie jak White's (założony w 1693 roku), Brooks's czy Boodle's były miejscami spotkań lordów, polityków i bogatych gentlemanów, gdzie przy brandy, cygarach i grze w karty omawiano politykę, interesy i plotkowano. Członkostwo w takich klubach było dziedziczne lub wymagało rekomendacji wpływowych osób.

*** Oliver Cromwell (1599–1658) – angielski wojskowy i polityk, przywódca purytanów podczas angielskiej wojny domowej, który obalił monarchię i rządził Anglią jako Lord Protektor (1653–1658). Purytanie, których reprezentował, charakteryzowali się skrajnie surowym stylem życia, odrzucali wszelkie ozdoby i przyjemności, nosili proste, czarne stroje. Krój ubrań z czasów Cromwella stał się symbolem fanatyzmu religijnego i surowej moralności.

Rozdział 2

Pokój, który Grimsby wyznaczył Melanii, przypominał klasztorną celę zaprojektowaną przez człowieka pozbawionego wiary w zbawienie. Cztery nagie ściany z szarego kamienia, wąskie okno z kratami – „dla bezpieczeństwa”, jak wyjaśnił dyrektor – i mebel składający się z żelaznego łóżka, słomianego materaca, prostego stolika i krzesła. Na ścianie wisiał jedynie drukowany obraz Chrystusa ukrzyżowanego, ale nawet Zbawiciel wyglądał tu jak więzień skazany na dożywocie.

Melania usiadła na skraju łóżka i rozejrzała się po swoim nowym domu. Domu – czy raczej grobowcu. Za oknem słychać było wiatr szarpiący się z murami Grimthorne House jak dusze potępionych próbujące wydostać się z czyśćca. Z korytarza dobiegały odgłosy – ciężkie kroki, szczęk kluczy, czasem stłumiony krzyk, po którym następowała cisza jeszcze bardziej niepokojąca niż sam dźwięk.

Co ja tu robię? – pomyślała nagle. – Czy naprawdę jestem gotowa spędzić resztę życia w tym okropnym miejscu, gdzie nie ma mowy o sztuce, muzyce, pięknie?

Wyjęła z walizki suknię. Czarna wełna była już lekko przetarta na łokciach, a mankiety zaczynały się strzępić. Jeszcze niedawno nosiła jedwabie i aksamity, a jej garderoba zajmowała całą szafę w eleganckiej kawalerce w Bloomsbury. Teraz wszystko, co ma, mieści się w małej walizce z przetartej skóry.

Ale to nie brak luksusu ją przytłaczał. Raczej atmosfera tego miejsca – ciężka jak ołów, przesiąknięta strachem i rozpaczą. Grimsby mówił o chłopcach jak o duszach do zbawienia, ale w jego głosie słyszeć było więcej nienawiści niż miłości, więcej potępienia niż nadziei.

Może powinnam odejść teraz, zanim będzie za późno? – myśl ta przyszła jej do głowy ze zdumiewającą wyrazistością. Mogła napisać list, wyjaśnić, że posada jednak jej nie odpowiada, i wrócić... tylko gdzie? Do Londynu, gdzie jej nazwisko nadal było synonimem skandalu? Do Yorkshire, gdzie po śmierci ojca nie zostały już żadne więzi? A może na ulicę, jak te kobiety, które widywała w zaułkach teatralnych dzielnic, sprzedające swój urok za kilka szylingów?

Nie, nie miała dokąd pójść. To miejsce było jej ostatnią deską ratunku, choć przypominało bardziej piekło niż przystań.

Nagle usłyszała dziwny dźwięk – cichy, stłumiony śpiew dobiegający gdzieś z dołu. Podeszła do okna i nasłuchiwała. To była melodia, którą ktoś nucił pod nosem, ale tak cicho, jakby bał się, że zostanie usłyszany. Czyżby jeden z chłopców śpiewał po kryjomu? To przypomniało jej, po co tu przyszła. Nie dla siebie, ale dla tych dzieci, które – jak ona sama – zostały rzucone w to miejsce przez okrutny los. Ale teraz, w tej celi, która miała być jej domem, poczuła, jak samotność otacza ją niczym zimna mgła. Grimthorne House było jak grobowiec, w którym czas zastygł, a słońce nigdy nie docierało. Nawet w środku dnia, jak zauważyła wcześniej, korytarze tonęły w cieniu, jakby światło bało się przekroczyć próg tego miejsca. Okna, wąskie i brudne, przepuszczały jedynie szare smugi, które bardziej przypominały zmierzch niż poranek.

Usiadła na skraju łóżka, a żelazna rama zaskrzypiała pod jej ciężarem. Pokój był pusty, choć stały w nim stół, krzesło i wisiał obraz Chrystusa,

który patrzył na nią z niemym wyrzutem. Pustka była jednak głębsza – to miejsce, choć pełne dzieci, było pozbawione życia. „Tam, gdzie są dzieci, powinna być radość”, mawiała jej matka, głaszcząc ją po włosach, gdy jako dziewczynka siedziała jej na kolanach podczas pikniku na łące. Matka wierzyła, że śmiech dzieci jest jak muzyka, która ożywia nawet najbardziej ponure domy. Ale tutaj nie było śmiechu. Tylko kroki, klucze, krzyki tłumione ciszą i ten cichy, ukradkowy śpiew, który zdawał się błagać o wolność.

Melania zamknęła oczy, próbując przywołać obraz matki – jej ciepły uśmiech, dłonie pachnące lawendą, głos nucący kołysanki. Ale wspomnienie było jak dym, rozmywało się w mroku tego budynku. Nie miała tu nikogo bliskiego, nikogo życzliwego. Był tylko Grimsby – jego surowa sylwetka, głos jak stal, oczy, które zdawały się widzieć każdy grzech, zanim jeszcze został popełniony. Czuła go nawet teraz, jakby jego cień czał się w korytarzu, gotów przypomnieć jej, że tu, gdzie jest, nie ma miejsca na słabość, na marzenia, na muzykę.

Czuła się potwornie samotna, jakby była jedyną żywą duszą w zamku pełnym staroci. Grimthorne House, mimo swych mieszkańców, było puste – ogołocone z nadziei, z ciepła, z tego, co dom czyni domem. Czuła się obca, niepotrzebna, zagubiona w labiryncie murów, które zdawały się szeptać, że nigdy stąd nie ucieknie. Czy to miejsce pochłonie ją, jak pochłoneło radość tych dzieci? Czy jej własne serce, wciąż bijące melodiami Londynu, zamilknie pod ciężarem tych kamieni?

Przycisnęła dłonie do twarzy, walcząc ze łzami. Nie mogła się poddać, nie teraz. Jeśli nie dla siebie, to dla tego chłopca, który śpiewał w ciemności, dla tych oczu, które jeszcze nie straciły nadziei. Musi znaleźć sposób, by przynieść tu światło, nawet jeśli sama czuje się jak płomień na wietrze.

Dalsza część w wersji pełnej

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Spis treści](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)